

WIELKI BLUFF: LUDOWY KAPITALIZM

Gra nazywała się „Jak zostać milionerem”, kosztowała złotych polskich bodaj dwadzieścia, była do nabycia w dziecięcym rajku międzywojennego Poznania — „Aquil” przy placu Wolności i cieszyła się niezwykłą popularnością tuż przed Wrześniem.

Pomysłowy twórca zabawki był chyba nienajgorszym psychologiem: pozwalał dzieciom i dorosłym stawiać się kilkunastominutowymi milionerami — w nagrodę za parę udanych rzutów kostką. Trochę szczęścia i oto stawałeś się właścicielem budynków mieszkalnych, pliku pseudobanknotów no i naturalnie — akcji.

W życiu o te atrybuty bogactwa nierównie trudniej, choć heroldzi ludowego kapitalizmu made in USA, niemalże gotowi dowodzić, że droga do fortuny jest dziecinnie łatwa. Ba, pojawiają się tam hasła, zgodnie z którymi obwołano już kapitalistami wszystkich, piekarzy z bankowcami pospołu. „Każdy jest kapitalistą, bo każdy inwestuje w nasze przedsiębiorstwa, przez współwłasność akcji!” — twierdzą propagandyści big businessu.

Po co to robisz? Na co kapitalizmowi owa zasłona dymna? Jakim celem służy ten bluff? W grę wchodzi bezsporne cele polityczne; brzydkie słowo kapitalizm — usiłuje się podać ludziom pracy w nowym sosie, licząc, iż tak przyrządzone, okaże się łatwiejsze do strawienia. A poza tym chodzi o zgola przyziemne, merkantylne cele: pobudzenie obywateli do nabywania akcji, co w konsekwencji pozwala obrócić indywidualne oszczędności na potrzeby, wyznaczone przez kierowników spółek akcyjnych.

A przecież sedno sprawy nie w tym, ilu Amerykanów ma akcje, lecz w tym, kto ile ich posiada. Otóż to: kto i ile! Na przykład słynna rodzina Du Pont ma ich dziesięciokrotnie więcej, niż wszyscy robotnicy Stanów łącznie. Inny przykład: 75 procent akcjonariuszy American Telegraf and Telephone Co — ma w ręku zaledwie 0,25 procent akcji tego towarzystwa. Oblicza się, że 80 procent wszystkich akcji amerykańskich przedsiębiorstw koncentruje grupa, stanowiąca tylko 6 procent ogółu akcjonariuszy. Instytut Badań Społecznych w Brookings

(USA) ustalił, że 1 procent rodzin dysponuje aż dwoma trzecimi ogółu akcji.

Taka jest prawda, przesłaniana zasłoną dymną, na której wymalowano wprowadzający w błąd slogan „17 milionów Amerykanów posiada akcje”. Takie są fakty, zadające kłam lansowanej w USA tezie o rzekomym „zastępowaniu indywidualnego właściciela przedsiębiorstwa — właścicielem zbiorowym” (akcje). Jeszcze jeden przykład: prezes Getty Oil Company — J. Paul Getty, sam posiada ponad 12,5 miliona akcji tego przedsiębiorstwa (wartość: ponad 300 mln. dol.), podczas gdy 6,6 miliona akcji pozostaje rozdzielonych w rękach reszty aż 101 000 akcjonariuszy!! Oto przekonujące zaprzeczenie innej modnej tezy, jakoby „robotnicy jako akcjonariusze stali się współwłaścicielami przedsiębiorstw, a tym samym środki produkcji przeszły na własność społeczną.”

17 milionów Amerykanów posiada akcje... Ale nie ma nic do gadania w sprawie działalności wielkich spółek. Bo własność kapitału pozostaje nadal bardzo skoncentrowana. Według studium J. Crocketta i I. Frienda z Uniwersytetu Pensylwania (część tzw. raportu Fundacji Forda), mniej niż 0,1 procent amerykańskich podatników utrzymuje w swych rękach prawie 20 procent ogółu akcji. Ów wysoki, niemal nie ulegający zmianie, stopień koncentracji kapitału, potwierdza niezmienny podział dochodu narodowego w ostatnich dziesięciu latach: w 1955 roku — 5 procent obywateli o najwyższych dochodach uzyskało 20,3 procent ogólnej sumy dochodu, natomiast w roku 1961 ta sama grupa otrzymała 19,6 procent.

Co więcej, postępowy ekonomista amerykański — P. Baran w pracy „Czy kapitalizm się zmieni?” dowodzi, że względny udział klasy robotniczej w produkcie społecznym uległ zmniejszeniu. Obliczenia swoje P. Baran opiera na porów-

tygodnia

POGLĄDY
POLEMIKI
POSTULATY

ODDZIAŁ GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO

Nr 108 Poznań, 10. XI. 1963 Rok III

naniach wzrostu wydajności godziny pracy (1909—1956 o 177,1 procent) z wzrostem płac (tylko 130 procent).

Innym chętnie lansowanym w USA sloganem jest twierdzenie, iż „połowa zysków monopolii wpływa do skarbu państwa w postaci podatków”. Ale — primo — duża część owych pieniędzy wraca do monopolii w postaci zyskowych rządowych zamówień zbrojeniowych i — secundo — powszechnie są znane machinacje kapitalistów, polegające na uchylaniu się od płacenia podatków. Nieomalże usankcjonowanymi trickami są tu: dzielenie dochodów między członkami rodzin, operowanie rzekomymi darowiznami oraz przekazywanie zysków na konta nieurodzonych jeszcze właścicieli (tak!), a więc „planowanym” dzieciom i wnukom.

Nie, kapitalizm amerykański nie jest ludowym, jak nie może być w ogóle mowy o tego typu mariażu, mariażu wody z ogniem. I nawet najpotężniejsze obłoki bluffu nie zastąpią gorzkiej prawdy, iż w kraju, którego ustrój na gwałt pragnie się przyoblec w ludowe szaty, rządy sprawują ludzie wielkiego interesu.

Pośród innych, ojciec obecnego prezydenta USA — John P. Kennedy, jest niezwykle bogatym człowiekiem, właścicielem pokaźnego pakietu akcji. Sekretarz stanu Dean Rusk był przewodniczącym Fundacji Rockefellera, Robert McNamara — sekretarz obrony, to były dyrektor zakładów Forda, sekretarz skarbu — Douglas Dillon, pozostawał dyrektorem jednego z największych banków Wall Street. Obecny szef wywiadu — Allan Dulles, także pełnił kierownicze funkcje w wielkich nowojorskich domach bankowych.

Kapitalizm pozostaje kapitalizmem. On zmienia jedynie metody działania, usiłując się przystosować do zmieniających się warunków, jego istoty jednak zmienić się nie da, kapitalizm można tylko znieść. Kapitalizm nie może być inny, jak inni nie mogą być bogacze. O nich to powiedział Ernest Hemingway:

— Tak. Z pewnością są oni inni. Mają więcej pieniędzy.

Jest ta książka pisana w oparciu o obszerną bibliografię druków zwartych i artykułów w czasopiśmie dowodem operatywności autora, której się zresztą należało spodziewać u byłego dyplomaty brytyjskiego w Bukareszcie i Belgradzie, a w latach 1942—1945 oficera w „oddziałach specjalnych przy Brytyjskiej Kwaterze Głównej na Środkowym Wschodzie”, jak informuje o nim wydawca, Hugh Seton-Watson uczynił przedmiotem swoich rozważań okres lat 1945—1962. Robi to ze ściśle określonych pozycji politycznych i światopoglądowych, których próbkę stanowi chociażby stwierdzenie, że brytyjskie władze kolonialne w Afryce spełniły misję „kształcenia i podprowadzania nie-dojrzałych narodów do niepodległości” (str. 320). Zanim jednak przystąpimy do szczegółowszego przeglądu poglądów i koncepcji Hugh-Watsona, konieczna jest jedna zasadnicza dygresja:

„Między wojną a pokojem...” jest książką, która wyszła spod pióra profesora uniwersytetu londyńskiego, kierującego na tej dostojnej uczelni katedrą Historii Rosji. Mimo akademickich tytułów i pozycji, prof. Watson nie tylko angażuje się jak najczynniej w obronę interesów swej klasy, ale co więcej — patrząc na współczesną historię — ocyma rzecznika brytyjskiego imperializmu — faszeryje swoją książkę kłamstwami. I tak na 45 stronie podaje za skrajnie odwetowymi publikacjami ziomkostw sudeckich, jakoby sudeccy Niemcy zostali w 1945—1946 r. wymordowani przez Czechów! Te i inne stwierdzenia Watsona nie dziwią zresztą przy dalszej lekturze jego książki, deklaruje się on przecież jako wielbiciel Adenauera i entuzjasta „zimnej wojny”. Zastanawia i dziwi natomiast zupełnie co innego.

Chociaż zarówno Watson, jak i większość angielskich, amerykańskich i NRF-owskich historyków dziejów najnowszych traktowała zawsze swoją pracę jako realizację konkretnych zamówień politycznych, to jednak nie przestają oni atakować badaczy dziejów najnowszych w ZSRR, Polsce i innych krajach demokracji ludowej i zalecać im, aby ograniczyli się do prac nad epoką Rusi Kijowskiej, Grodami Czerwieskimi czy wyprawami Bułgarów na Bizancjum. Wróćmy jednak do głównego tematu.

Hugh Seton-Watson jest zafascynowany potęgą NRF i koncepcjami politycznymi Adenauera, w którym widzi „opatrznościowego męża” ratującego zachód przed „groźbą komunizmu”. Dlatego za niezmiernie ważne cezury historyczne uważa daty powstawania zachodnich sojuszków wojskowych, które umożliwiły narodziny Bundeswehry. Seton-Watson jest jednym z tych anglosaskich historyków, którzy poświęcają wiele wysiłków, aby ich narody zapomnieli nie tylko o zbrodniach hitlerizmu, ale w ogóle o samym fakcie wojny z III Rzeszą.

To stanowisko Seton-Watsona wobec sprawy niemieckiej zdecydowanie od razu jego wrogi stosunek do Polski. Przejawia się on przede wszystkim w negowaniu naszego prawa do ziem odzyskanych. „Tak Rosja, jak i Polska utrzymują, że ziemie te nie są tylko tymczasowo-

W oczach rzecznika imperializmu*)

wo administrowane przez Polskę, lecz stanowią integralną część Państwa Polskiego” — pisze oburzony na 44 stronie książki. Profesora historii, a zarazem ex-dyplomata i ex-wywiadowcę denerwuje bardzo to, że wszystkie kraje obozu socjalistycznego popierają fakt przesunięcia się granic Polski na zachód, i że te granice są już faktem oczywistym oraz nienaruszalnym.

Prawdziwą obsesją profesora jest nienawiść do wyzwoleniczych walk narodów kolonialnych. Daje jej wyraz choćby w rozdziale „Europejska polityka kolonialna w Afryce”.

Podstawową „metodę”, jaką zastosował Watson, omawiając problemy kolonializmu na Czarnym Lądzie, stanowi zwykłe przeinaczanie faktów. Pisze np. (str. 333), że „inicjatywa europejska zarówno w rolnictwie, jak i w przemyśle, niezwykle wzbogaciła Kenię”, gdy tymczasem wiadomo jest, że prowadzone przez osadników angielskich rugowanie Afrykanów z ziemi doprowadziło do pauperyzacji — Kenijczyków. Podobną wartość mają wywody na temat „liberalnej, radykalnej i paternalistycznej szkoły myślenia” kolonializmu francuskiego.

Dużo miejsca w „Między wojną a pokojem” zajmują rozważania o charakterze współczesnego społeczeństwa. Seton-Watson powtarza w nich na ogół argumenty, którymi posługuje się współczesna burżuazyjna socjologia amerykańska. Ich kościec stanowi schematyczny podział świata na społeczeństwa opóźnione i „zachodnie społeczeństwa przemysłowe”, do których zalicza także rolniczo-rybacką, ogarniętą bezrobociem Grecję!!!

Warto podkreślić, że profesor londyńskiego uniwersytetu, który zajmuje się również intensywnie problematyką najnowszych dziejów Polski i Czechosłowacji wykaże na łamach recenzowanej książki sporo żenującej ignorancji. Pisząc o reformie rolnej w Polsce i Czechosłowacji, stwierdza: „W nowej Polsce jednak podobnie jak w Czechosłowacji nastąpiły wywłaszczenia na wielką skalę. Zyskali na nich chłopcy polscy i czescy, ale kosztem społeczności niemieckich” (str. 137). Historyk z Londynu nie wie widać, że w Polsce reforma rolna zlikwidowała dość liczną warstwę obszarników, przy czym w środkowej części kraju przeszła w ręce chłopów znaczna

Dokończenie na str. 2

Józef Ratajczak

Festiwale, festiwale ... i co dalej?

Głoszę pochwałę Rybnika. Rybnik bowiem to nie tyle okazja do różnego typu satysfakcji, także osobistych, co właśnie — perspektywa, albo inaczej — propozycja warta podjęcia. Dlatego o nim kilka słów.

Najpierw jednak tytułem przypomnienia: od sześciu bez mała lat urządzaliśmy w Poznaniu Ogólnopolskie Festiwale Młodej Poezji.

A Rybnik? Rybnik to małe miasto na Śląsku, centrum budowanego obecnie Rybnickiego Okręgu Węglowego, jednej z największych inwestycji gospodarczych w Polsce. Nie ma tutaj żadnego ośrodka literackiego, żadnych tradycji ani rzesz miłośników literatury, do których po poparcie i pomoc można się każdej chwili odwołać. A mimo to, czy właśnie dlatego, już po raz drugi z kolei władze górnicze ROW i maleńki Klub Literacki „Kontakt”, istniejący przy Domu Kultury Rybnickiej Fabryki Maszyn, zorganizowały piękną imprezę kulturalną, II Rybnickie Dni Literatury.

W dniach 10—13 października, bez jupiterów i fanfar, zaproszono piętnastu literatów z całego kraju (byli tu m. in. Przyboś, Jastrun, Czernik, Morcinek, Maciąg, Samozwaniec) kilku aktorów, recytatorów poezji (W. Hańcza, Z. Perczyńska, L. Mazurkiewicz, A. Ko-

walczyk) — i w całym Rybnickim Okręgu Węglowym urządzono ponad pięćdziesiąt wieczorów autorskich, nie wyłączając najdalszych i pozornie najbardziej trudnych i ryzykownych miejscowości oraz Domów Górników. Powodzenie wszystkich imprez — nie wyłączając inauguracyjnego i zamykającego Dni Rybnickie koncertu, na którym wystąpili wszyscy zaproszeni goście — przeszło oczekiwania samych organizatorów. Najlepszą miarą tego zainteresowania będzie, być może fakt, że — jak mnie informował kierownik tamtejszego Domu Książki, tylko z okazji inauguracyjnego koncertu sprzedano kilkaset książek (tomików poezji!) przybyłych do Rybnika autorów.

A ponieważ w Rybniku byłem i w wielu zaskakująco ciekawych spotkaniach z czytelnikami uczestniczyłem — pozazdrościłem, przyznając ze skrucą, mailemu miastu śląskiemu takiej imprezy. A może jednak propozycja podsunęta przez Rybnik i nam mogłaby się na coś przydać?

Czy nie dałoby się bowiem, rezygnując z wielkich ambicji urządzania Festiwali, organizować corocznie, ot, choćby w Koninie i Turku, tego typu literackich dni — wielce pożytecznych zarówno dla zaniebdywanego kulturalnie na co dzień ośrodków, jak i dla niezbyt wciąż zorientowanych w ogromnych problemach pracy i budownictwa — pisarzy?

OD REDAKCJI: Z okazji Rybnickich Dni Literatury odbył się również konkurs ogólnopolski na wiersz o pracy o Nagrodę Złotej Lampki Górniczej. W skład jury wchodził: J. Przyboś, M. Jastrun i T. Nowak. Pierwszą nagrodę za wiersz pt. „Pług” zdobył autor powyższego felietonu, Józef Ratajczak.



Zbigniew Kaja z cyklu „głowy”-II (linoryt)

Niedostępne zabytki Krakowa

Mylili się ten, kto sądzi, że po odwiedzeniu Wawelu, kościoła Mariackiego, Collegium Maius czy spacerze wzdłuż plant, iż zobaczył już wszystko co godne było do obejrzenia w Krakowie. Kraków kryje bowiem w swych murach wiele pięknych zątków niedostępnych dla oczu miliona turystów, którzy rok rocznie odwiedzają to miasto.

Dotyczy to zwłaszcza wspaniałych XV i XVIII-wiecznych polichromii, modrzewiowych stropów, pięknych sztuków stanowiących dekorację wielu pomieszczeń zajmowanych przez prywatnych użytkowników, biura różnych przedsiębiorstw itp.

Znaczne zgrupowanie tych zabytków, stanowiących niejednokrotnie unikalnej wartości dzieła sztuki zdobniczej, wynika ze stołecznego charakteru Krakowa i bliskiego wówczas sąsiedztwa dworu królewskiego. Indywidualne oblicze tego miasta, jego poziom jako środowiska kulturalno-artystycznego, kształtowały się w oparciu o ustabilizowaną pozycję mieszczaństwa, które w XVI wieku miało już za sobą dobre tradycje cechowej sztuki. Znajdowało to wyraz m. in. właśnie w wyposażeniu domów.

Za przykładem dworu królewskiego, zwłaszcza dworu króla Zygmunta Augusta, który zamówił dla siebie wielką kolekcję flamandzkich arrasów, mieszczanństwo krakowskie przyozdabiało swe komnaty różnego rodzaju tkaninami i obiciami. Również niezwykle modne było przyozdabianie ścian fryzami podstropowymi, których przykłady znaleźć można jeszcze do dziś w szeregu kamienic krakowskich, m. in. przy ul. Kanonicznej, Małym Rynku, Szpitalnej, Floriańskiej, Grodzkiej czy Szewskiej. Dużą wartość posiada malowidło przy ul. Szpitalnej, pochodzące z osiemnastych lat XVI stulecia, fryzowa dekoracja podstropowa przy Rynku Głównym i inne.

Do prawdziwych unikatów zaliczyć należy piękne drewniane stropy, które w wielu wypadkach — zwłaszcza w okresie renesansu — pokrywane były motywami plastycznymi, bogato zdobionymi złotem na wzór i podobieństwo komnat wawelskich. Przykładem tak zdobionego stropu jest malowidło przy ul. Floriańskiej nr 9 lub polichromia stropu przy ul. Kanonicznej 22, pochodząca według daty na belce z 1638 roku.

Czy zabytki te będą kiedykolwiek dostępne dla przeciętnego turysty? Odpowiedź na to pytanie jest trudna. Wykwaterowanie dotychczasowych lokatorów wymagałoby bowiem zapewnienia odpowiedniej liczby mieszkań zastępczych. Do tej pory nie ma w tej sprawie konkretnego programu działania. Jedynym dotychczas projektem przeniesienia przedsięwzięcia turystycznego, biur podróży itp. do zabytkowych wnętrz domów Małego Rynku, nie może doczekać się realizacji.

W oczach rzecznika imperializmu

Dokończenie ze str. 1

Ilość ziemi obszarowej, co spowodowało powstanie setek nowych gospodarstw oraz upelnorolnienie dalszych. W Czechosłowacji zostało rozparcelowanych kilka tysięcy majątków ziemskich należących do czeskich, niemieckich i węgierskich obszarów.

Książka „Między wojną a pokojem...” powitana z radością przez odwetowców w NRF, stanowi klasyczny przykład tworzenia „historii” na użytek agresywnych ośrodków imperialistycznych. W Anglii i w USA, we Francji, Izraelu, a przede wszystkim w Niemczech zachodnich znajduje się wiele „naukowych” instytutów, zakładów oraz ośrodków

MÓWIĄ AMERYKAŃSCY PISARZE

Erskine Caldwell

Pasją Hemingwaya były walki byków. Steinbeck namiełnie kolekcjonuje fajki. Autor popularnego „Poleka Pana Boga” — Erskine Caldwell przyznał się przedstawicieli pisma „Literaturna Gazeta”, że jego największym hobby są podróże. Czasem z jednego stanu USA do drugiego, niekiedy po całym kraju, najchętniej po różnych kontynentach. Oto fragmenty wywiadu Caldwell, udzielonego w czasie jego obecnego pobytu w ZSRR.

— Jakie były początki pana kariery pisarskiej?

— Pragnąłem po prostu opisywać otaczających mnie ludzi. Byli tak interesujący, że dziwiłem się, że nikt się tego nie podejmuje. I tak się zaczęło. Zresztą pisanie przychodzi mi z trudnością. Wciąż zmieniam i przeobrażam rzecz raz napisaną. Kiedy zaczynałem moją działalność literacką, byłem w fatalnej sytuacji finansowej.

— W czym upatruje pan cel swojej twórczości?

— Nie wiem, w jakim stopniu mi się to udaje, ale pragnę wyjaśnić ludziom, jak należy żyć, nauczyć ich rozróżniać dobro od zła, ukazać co należy kochać, a czego nienawidzić. Jest to, oczywiście, ogromnie trudne. Nad opanowaniem tej umiejętności pracuję całe życie.

— A jaka jest technika pańskiej pracy?

— Zamykam się w pokoju, w którym znajdują się tylko trzy rzeczy — biurko, krzesło i maszyna do pisania. Opuszczam rolety, zapalam światło — stwarzam pozor nocy. Pracuję przez wszystkie siedem dni tygodnia.

— Co sądzi pan o dzisiejszej twórczości literackiej?

— Nie jestem wprawdzie krytykiem, ale prócz wydanej przed dwunastu laty publikacji pt. „Nazwijcie to doświadczeniem”, zamierzam napisać jeszcze jedną rzecz w tym rodzaju. Uczyć się od życia, hoidować realizmowi — oto sens tych książek. A realizm — to wnikiwanie w duszę otaczających nas ludzi. Sądzę, że w sztuce nie wolno być wyłącznie fotografem. Należy być artystą-twórcą. Należy posiadać sztukę „wiedzy” pisarskiej, trzeba eksperymentować, poszukiwać, nie schlebując panującej modzie. Uważam się za „staromodnego” narratora. Moim celem

jest stworzenie obrazu, którego przedmiotem jest człowiek. Opisujać jego życie, pragnę wzbudzić w czytelniku pewien określony stosunek do rzeczywistości.

— Jakie jest pańskie zdanie o literaturze amerykańskiej?

— „Złoty wiek” amerykańskiej powieści był i nadal pozostaje okres między pierwszą a drugą wojną światową. Mieliśmy wówczas wspaniałych twórców, jak Dreiser, Sherwood, Anderson — potem Faulkner i Hemingway. Z ich odejściem literatura nasza poniosła niepowetowaną stratę. Jeśli chodzi o dzisiejszych młodych, trudno mi coś o nich powiedzieć. Nasi „beatnicy” — to wyraziście stylu bez treści. Przez całe życie uważałem i uważam nadal, że nie może istnieć literatura bez treści.

John Steinbeck

Wywiadzie udzielonym przez Johna Steinbecka dziennikowi „Izwestia” znajdujemy między innymi szereg interesujących uwag znakomitego pisarza na temat literatury amerykańskiej, jak też wypowiedzi dotyczących jego własnej osoby — przyzwycajeń i zamiłowań. Oto kilka fragmentów tego wywiadu:

— Nie ulega wątpliwości, że podwaliny współczesnej powieści amerykańskiej stworzył Teodor Dreiser. Ale trzeba dodać, że nie najlepiej posługiwał się językiem angielskim. Sądzę, że w przekładach tego się nie dostrzega. Moim zdaniem, Arthur Miller — to nasz najwybitniejszy dramaturg współczesny, a jego szczytowym osiągnięciem jest „Śmierć komiwojażera”. Jeśli chodzi o Faulknera, to mogę tylko stwierdzić, że nie ma on nic wspólnego z tym rodzajem twórczości, który ja uprawiam... Mam obecnie w Ameryce wiele dobrze zapowiadającej się młodej twórczości. Jedni jeszcze eks-

perymentują, inni przechodzą już do prawdziwej twórczości. Niestety, nasi młodzi twórcy, nazywani u nas w większości „beatnikami”, wiedzą przeciw czemu należy występować, natomiast nie orientują się jeszcze w imię czego. A przecież pisarz, zawsze to podkreślam, powinien nie tylko krytykować, ale również afirmować. A w ogóle sądzę, że „beatnicy” to nie tylko fakt, ale raczej pewne zjawisko. Łączę je z procesem eksperymentu, który nazywam protestem.

— Jak pracuję i jak odpoczywam? Piszę zwyczajnym ołówkiem. Żadnych wiecznych piór ani długopisów. Ale to nie ma znaczenia. Można piąć się byle czym, aby tylko była w tym myśl, aby zawierało wszystko to, co należy powiedzieć ludziom. Lubię wszelką muzykę. Zarówno jazz jak i tak zwaną muzykę poważną. Chętnie chodzę na koncerty. Bardzo wiele czytam, dosłownie wszystko — i „kryminały” i „comicsy”, ale chyba najbardziej lubię książki historyczne. W ogóle szalenie interesuję się historią. Czy uznaje abstrakcjonizm w sztuce? No, coż... do pewnego stopnia. Jeśli mnie zainteresuje swą oryginalnością, traktuję go jako ciekawą, dobry eksperyment. Zresztą mogę nawet nie przyjąć wyników tych eksperymentów i nie uznawać ich, ale w zasadzie jestem zwolennikiem eksperymentowania.

Na zakończenie wizyty w „Izwestiach” dziennikarze pokazują Steinbeckowi galerię fotografii wielkich pisarzy, którzy byli w swoim czasie gośćmi redakcji. Widnieją tu zdjęcia Gorkiego, Majakowskiego, Shawa, Barbusse’a, Szolochowa.

John Steinbeck proszony jest o pozowanie do fotografii, która ma uzupełnić tę galerię.

— Z przyjemnością — mówi Steinbeck. — To dobre towarzystwo. Jestem nieśmiały. Mam pozować do zdjęcia na balkonie, na którym przebywał wielki Gorki.

Eugeniusz Pauksza

Wiesz wczoraj i dzisiaj

Po pewnej przerwie, ukazało się na półkach księgarskich sporo książek polskich autorów. Na niektóre z nich chciałbym zwrócić szczególną uwagę czytelników.

Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza konsekwentnie publikuje utwory nagrodzone czy wyróżnione na swym wielkim konkursie. Obecnie ukazały się z tego cyklu dwie nowe pozycje. Pierwszą będzie powieść Danuty Bieńkowskiej „Szczęście własne i cudze”, ciekawą, z pogranicza psychologii studium postaw i czynów ludzkich. Problem samoświadomości ukazuje portret Bieńkowskiej w sposób prawdziwy przez autentyzm dramatu. Zarezerwujmy sobie miejsce w książce, która wyraziście maluje się w książce tło wiejskie, z kompleksami i przywarami, ale i z wielkimi wartościami wnoszonymi w życie przez środowisko chłopie. Teodor Goździkiewicz wystąpił z nowym, ambitnym utworem „Tarcza samotnika”. Autor w oparciu o sfingowany pamiętnik emeryta, wracającego u schyłku swych lat do rodzinnej wsi, ukazuje dzieje paru po-

koleń, uwikłanych w dramata czasu i zwykłych ludzkich namiętności. Goździkiewicz wysłupuje w utworze jako dyskretny komentator przygotowywanego do druku tekstu, jako swego rodzaju widz i bierny obserwator rozgrywających się wypadków. Ta ciekawa konstrukcja utworu wciąga, a dramat ludzkich losów przekonuje, zewalając w dodatkach na wyciągnięcie szerszych, uogólniających spostrzeżeń.

Jan Brzoz, niesfety, rzadko dosyć publikujący, prezentuje obecnie nowy tomik opowiadań, dając im tytuł

Z KSIĄŻKA NA TY

„Na Małym Rynku”. Niektóre bezprezycyjne, proste w formie i konstrukcji migawki zaskakują oryginalnością spostrzeżeń, świetnym darem obserwacji i umiejętności dostrzegania psychologicznych niuansów. Miłośnicy twórczości autora słynnych „Dzieci”, chętnie wezmą ten nowy tomik do ręki.

Dobrze się stało, że jeszcze raz przypominano wdzicznymi zawsze odbiorcom kilka opowieści Jana Wiktora zebranych w tomie „Burek”. Jeszcze lepiej, że tom opratrzony został obszernym szkicem o twórczości autora „Wierzb nad Sekwaną”, pióra Józefa

Mieczysław Skapski

Życie na tyłach

„EWAKUACJA”. Film prod. radzieckiej. Scenariusz: Wiera Pano-wa. Reżyseria: Igor Talankin. Zdjęcia: W. Władimirov i W. Minajew. Muzyka: A. Szmitke. Wykonawcy: Boria Tokariw (Wołodia), Nina Urgant (matka Wołodi), J. Wolkow (ojciec), Natasa Bogunowa (Wala), L. Sokolowa (matka Wali), L. Malinowska (ciocia Dusja) i inni.

Metody reżyser Talankin dopiero przed trzema laty debiutował filmem „Sierioża”, za który dostał Grand Prix festiwalu w Karłowych Varach, a o to teraz za „Ewakację” zdobywa drugi ważny laur — Srebrnego Lwa na tegorocznym festiwalu w Wenecji. Wasz recenzent wyżej jednak ceni wartości artystyczne debiutu tego utalentowanego reżysera. Była w nim poezja i miłość czysta, nie zapomniana, była jednolita przejrzysta akcja, ciągłość dramatycznego napięcia. W „Ewakacji” akcja się rwie, nie ma jednolitego wątku fabularnego, widz co chwile poznaje nowych ludzi, których nie od razu kojarzy z poprzednio oglądanymi sytuacjami.

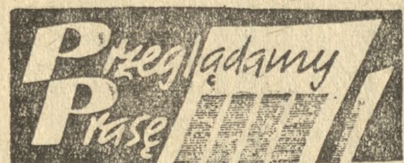
Ale też to bodaj wszystko, co da się o tym filmie negatywnego powiedzieć. Wyliczmy więc teraz przynajmniej najważniejsze pozytywy. Oirzymujemy temat nieoklepany, jeśli bowiem dotychczas akcja wszystkich niemal filmów wojennych działała się na froncie, wśród żołnierzy, teraz oglądamy tyły frontu, ciężkie życie ludności Leningradu ewakuowanej w głąb kraju, wyrwanej z korzeniami ze swoich siedzib i rzuconej bez dobytku gdzieś na niezawieszę przyczyną głębi. Obraz życia tych ludzi jest realistyczny, twórcy nie czegoś widzieli nie ufałwiali, ani go nie oszczędzają, nęda i inne okropności tego życia pokazane są bez obsłonek. Jest to też film o codziennym życiu zwykłych, przeciętnych ludzi i szukanie właściwego wyrazu dla tej codzienności, zdaje się być jednym z ważniejszych celów twórców filmu. Poszukiwanie jest chyba udane, a to nowe od-czytanie ludzkich losów z czasów ostatniej wojny warie jest obejrzenia.

Korpaly. Wiktor stanowi specjalny rozdział w naszej literaturze i podobna, choćby skróciwa tylko monografia na pewno jest konieczna do bliższego wprowadzenia w twórczość iego zariwego, bardziej od innych wy-czulonego na krzywdę ludzką pisarza.

W tej samej oliczynie z zapalem publikowane są biografie postaci związanych z historią dziejów naszych albo sztuki. Obecnie wznowiona została w jednym tomie ciekawa opowieść Gabrieli Pauszer-Klonowskiej o Elizie Orzeszkowej. pl. „Pani Eliza i Światło znad Niemna”. Popularna forma tej książki zapewnia odbiór jej przez szerokiego czytelnika, z drugiej zaś strony sumiennosc biograficzna i swada narratorska, każą książkę Pauszer-Klonowskiej zaliczyć do udanych utworów tego typu, zbliżających od biorąc do postaci Orzeszkowej.

Spod pióra Karola Koźmińskiego wyszła bardzo dobrze, momentami wręcz pasjonująca napisana opowieść o Ks. Stanisławie Brzósce, ostatnim przywódcy powstania styczniowego. „Ostatni wódz”, to zarazem dokumentarne studium okresu zamierającego już powstania, obraz postawy ludności Podlasia i zarazem historycz-na relacja z terenu działania oddziałów pozostających pod wodzą wspa-niałego potiotri, przysięgłego „bun-townika”, jakim to mianem określały go władze carskie.

WOJCIECH SULEWSKI



Wszystkie czasopisma (większość odzyskała swoją normalną objętość) przynoszą publikacje związane z 46 rocznicą Rewolucji Październikowej. Są to reportaże, eseje, fragmenty utworów literackich, artykuły publicystyczne.

REWOLUCJA A ŚWIAT

Tak określić by można refleksyjny artykuł („W różnych punktach globu”) Michała Radgowskiego. Na łamach „Polityki” zastanawia się on nad siłą oddziaływania idei Wielkiego Października we wszystkich zakątkach świata.

„Rewolucja Październikowa — pisał — przyniosła rehabilitację „człowieka pracy”, zaprzestowała przeciw deptaniu jego godności, podniosła i uwzniośliła jego rolę, jako „twórcy historii”. Traktowanie robotnika jako „kółka w maszynie”, bezwolnego przedmiotu, wyzysku czy filantropii bogatych zostało moralnie skompromitowane, najbardziej brutalne formy wyzysku ustanowione przez wczesny kapitalizm angielski, który traktował wyższy ekonomiczny

jako obowiązek publiczny, a bogacenie się jako „służenie Bogu”, musiały być zastąpione przez formy bardziej zawołane i otaczała je atmosfera dezaprobaty”.

PISARZ — PATRIOTYZM

Trzecią z kolei dyskusję redakcyjną tygodnik „Kultura” poświęcił tematowi: „Pisarz — patriotyzm”. Pisarze — uczestnicy rozmowy doszli do wniosku, że — w przeciwieństwie do XIX-wiecznego patriotyzmu w pewnym sensie „cierpiętniczego” — dopiero po drugiej wojnie światowej, literatura zaczęła kształtować patriotyzm w oparciu o nowy model Polaka pracującego. Współczesny patriotyzm cechują treści internacjonalistyczne i aktywny stosunek człowieka do procesu budownictwa socjalistycznego. A stosunek pisarza do patriotyzmu? Oto mówi Roman Bratny:

„Jedyną postawą obywatelską pisarza jest pełne zaangażowanie w sprawy historii i współczesności swego narodu, który dziś znalazł się we froncie narodów budujących nową, socjalistyczną formułę swego społecznego bytu”.

I ważne uzupełnienie Bohdana Czeszki:

„Świat jest zainteresowany właściwie tylko tym, co mamy mu do powiedze-

nia jako Polacy. W żadnym innym wydaniu niewiele kogokolwiek obchodzi”.

CZY TYLKO POŚREDNICY

W artykule pod takim tytułem Jan Paweł Gawlik omawia w „Życiu Literackim” działalność regionalnych towarzystw kulturalnych (pismo m. in. o Wielkopolskim Towarzystwie Kulturalnym):

„Doświadczenia Bydgoszczy i Poznania, a jeszcze wcześniej Olsztyna i Zielonej Góry — czytamy w artykule — potwierdzają przydatność tej nowej, społecznej (a można pewnie też napisać: socjalistycznej) formy organizowania umysłowego i artystycznego życia terenu, nie tylko przy pomocy urzędów, ale rekoma miejscowych działaczy i miejscowego społeczeństwa. I jeśli można się czemuś dziwić, to tylko — że jest ich w Polsce tak mało. Ze również na innych terenach, w innych województwach, o żywym i autentycznym rytmie kultury, towarzystwa takie jeszcze nie powstały.”

CHAMSTWO, CHULIGAŃSTWO, BANDYTIZM...

Ostatnio opinia publiczna wstrząśnięta została serią bandyckich wyczynów tzw. chuliganów. Problem ten znowu wrócił na łamy prasy; publicyści zajmują się różnorakimi aspektami tej

sprawy. Jerzy Krasniewski na łamach „Głosu Nauczycielskiego” zwraca uwagę, że rozprawa sądowa nie powinna być pierwszym etapem reedukacji zdeprawowanych wyrosków. Dlaczego rodzice na wieść o aresztowaniu dziecka mają najczęściej pretekst do wszystkich z wyjątkiem siebie? Dlaczego kolektyny wielu zakładów pracy przecierają oczy dopiero po wizycie milicji lub zawiadomieniu o aresztowaniu lub skazaniu pracownika?

A z czego rodzi się bandytyzm? Jerzy Putrament w cotygodniowym felietonie na łamach „Kultury” tak pisał o tym:

„Stusnie się pisze, że bandytyzm rodzi się z chuligaństwa. Ale jest jeszcze trzecia warstwa, najszersza, najpowszechniejsza, z której dopiero rodzą się chuligani, jak grzyby z grzybnii: to zwykłe, codzienne chamstwo. Chamstwo jako pewien stan psychiczny, często (choć nie koniecznie) wpływający wtedy, gdy poprawa warunków materialnych jest zbyt szybka: typowa choroba dorobkiewiczów, choroba polskiej burżuazji czy drobniomieszczaństwa wojennego, choroba „prywatnej inicjatywy” ale nie tylko, nie tylko... To choroba, wynikająca z nadmiaru wolnego czasu czy wolnych, zbyt łatwo zarobio-

nych pieniędzy, wydawająca się w rozrywkach najprostszyc, najszybszych, najłatwiejszych, z wódką na czele. Stąd do chuliganstwa krok, kroczek...”

Na marginesie ostatnich tzw. komorowskich procesów Barbara Seidler zastanawia się w „Polityce” nad problemem:

„Dlaczego tu tryb doraźny i takie duże kary, a na sali obok podobna sprawa, postępowanie zwykle i kary po 6 miesięcy więzienia?”

Wszystkie sprawy chuligańskie permanentnie powinny być bardzo szybko osądzone, a kary zastrzeżone do maksimum. Mówiono mi, że trybu doraźnego nie można stosować, jeśli nie obrażano przy okazji napadniętego. A jeśli milicjanta „załkokują” przed kinem, to mniej straszne? Cóż z tego, że nie było rabunku? A) bandytyzm dla „drażki” to niby nie zastępuje na doraźny tryb? A jeśli sprawy chuligańskie są dżone są w trybie zwykłym, to też do brze, tylko powinny przede wszystkim trafiać na wakande i nie ma powodu tak często stosować najniższych z możliwych wymiaru kary (...) Konieczne jest poczęcie stabilności wyroków sądowych: surowych, ale surowych niezmienne, tak aby wszyscy wiedzieli i przyzwyczaili się do tego, że za określony czyn przestępny zawsze spotyka taka, a nie inna kara”.

LEKTOR